

Gazetka Cwojdraka a reforma literatury niemieckiej - Wsiewołod Wiszniewski i renegat Scholtis

Młody pisarz i krytyk H. G. Cwojdrak, redaktor literackiej gazetki radiowej w rozgłośni berlińskiej (kolego Kuryluk, posłuchajcie jej od czasu do czasu, warto by tę formę wprowadzić i w naszym radio), wybiła się coraz bardziej na czoło młodych krytyków niemieckich. Audycjami jego interesuje się prasa, która przedkłada lepsze pozycje jego gazetki. Tytuł gazetki „Soeben erschienen“ zdobył sobie niemierną popularność od ulubionego „Ulenstepla“, który niedawno przenosił się z sektora amerykańskiego Berlina do sowieckiego, straciwszy licencję po przyjeździe swego redaktora Günthera Welsborna z podróży moskiewskiej i po jego wypowiedziach na ten temat. Cwojdrak należy do grupy postępowych młodych pisarzy niemieckich. Jest pisarzem odważnym i cenionym za wiele śmiałych wystąpień. Dla nas cenne jest wyrażenie Cwojdraka w sprawie niemieckiego ruchu oporu. W jednym z ostatnich numerów „Soeben erschienen“ Cwojdrak wykił niemiecki ruch oporu, obnażył niemiernie słabość niemieckie, które uniemożliwiły stworzenie wielkiego ruchu oporu, nazwał — zresztą w całkowitej zgodzie z naszym stanowiskiem wyrażonym także na łamach „Odry“ — niemiecki ruch oporu legendą. Wiem, powiedział, że nie jeden z nas chętnie by uczynił z niej manewr maskujący, badamy jednak szerszy już nie tylko wobec świata, który nadaliśmy, ale i wobec samych siebie.

Gazetka Cwojdraka z 3 lipca br. przyniosła m. in. ogłoszenie Heina Seydla p. n. „Reforma literatury, rozporządzenie 833“. Chodzi o to, że w literaturze niemieckiej po wojnie weszły w życie wiony koniunkturalny obieg takie wyrażenia jak ludność, humanizm, wolność, socjalizm, wewnętrzna przemiana. Reforma literatury — czytamy w tym dowcipnym ale i głęboko satyrycznym rozporządzeniu — działać musi z punktu widzenia konsekwentnej prawdy i uniemożliwić na przyszłość nadużywanie tych wielkich i wspaniałych słów przez duchowych paskarzy i literackich lichwiarzy. Zarządza się zatem co następuje:

- 1. Wszystkie tego rodzaju pojęcia sprowadzić trzeba do ich pierwotnej wartości i prawdziwego znaczenia;
2. Zużyte ich zredukować należy do 10 proc. stanu obecnego;
3. Zabrania się natychmiast wszystkich politycznych macherek i transakcji duchowych przeprowadzanych w wym. przepisami. Wykroczenia przeciwko temu zarządzeniu, mające na celu wprowadzenie chaosu w gospodarkę nastrojów i opinii, karane będą jako fałszerstwo;
4. Używanie powyższych wyrazów podlega od zaraz duchowej kontroli ludowej;
5. Wykorzystywanie rewolucyjnych pojęć i postępowych autorów przez organy tak ze względu na kierunek jak i stanowisko od tego niepowołane, jak np. przywłaszczanie sobie Kurta Trockiego przez „Telegraf“, uważane będzie jako nieprawomocne nabycie własności i jako takie karane przez przymusowy pretekst właściwego poglądu wspomnianego autora;
6. Literacki fałszywy pieniądz wycofany zostanie bez odszkodowania natychmiast z obiegu; jego producentów wykluczeni zostaną z literatury;
7. Reforma literacka posiada wybitnie socjalny charakter i służy interesom całego narodu. Toteż dla duchowych paskarzy nie odbędzie się wymiana przywłaszczonych sobie drogą oszustwa określeń i definicji, natomiast ich wartościowanie ich nastąpi jedynie w stosunku do uczciwych maklerów słowa i to w stosunku 1:1;
8. Rozporządzenie niniejsze ważne jest z wyjątkiem wyjątków w odniesieniu do na Zachód zorientowanych stryf literackich. Rozporządzenie wejdzie w życie z chwilą, gdy skończy się reszta cierpliwości, która jeszcze pozostała niemieckiej publiczności czytelniczej.

Echa reformy monetarnej, jakie pobrzmiewają w tym na niemiecki sposób dowcipnym rozporządzeniu, głośniejsze są w praktycznym życiu kulturalnym Berlina. Doniesienia prasowe, także i polskie, omawiały ruch handlowy bezpośrednio po reformie. Odbiła się ona w pierwszym rzędzie fatalnie na sytuacji teatralnej Berlina. Sale teatralne, puste i opuszczone i to nie wiadomo na jak długo, były głównym tematem rozmów kulturalnych Berlina ostatnich tygodni. A oto parę szczegółów, jak reforma odbiła się na ruchu kulturalnym i antykwarycznym. Wydawcy berlińscy cieszą się z reformy. Według słów dyrektora wydawnictwa „Volk und Welt“ dzięki reformie zlikwidował się czarny rynek księgarski, przysparzając wiele kłopotu polityce kulturalnej Niemiec. Klientela stała się wyborniejsza, zwiększyły się zakupy publiczne. W przeciwnieństwie do optymistycznych głosów wydawców z radzieckiego sektora Berlina, wydawcy i księgarze z sektorów zachodnich przynajmniej się do dużych strat na skutek odpływu pewnej bogatej grupy kupujących. Wydawcy berlińscy jedno w każdym razie przynajmniej zgodnie, że czytelnik niemiecki po reformie nareszcie kupować będzie książki, bo je czytać a nie, by inwestować w nie nadmiar pieniądza.

Optymistyczny spólgłos wydawców i księgarzy berlińskich jest jednak głosem wyjątkowym. Inne artystyczne zawody mają wiele powodów, by reformę uważać za klęskę. Ciężka sytuacja teatrów z jednej strony i zupełny zastój w handlu obrazami z drugiej, oto dwa skrzydła sytuacji, która niepokoi berlińską publiczność artystyczną. Na taką atmosferę trafily berlińskie przedstawienia „Optymistycznej tragedii“ Wsiewołoda Wiszniewskiego. Ten jej optymizm szczególnego bohaterstwa gatunku nie spodobał się recenzentom reprezentującym pisma zachodnich sektorów Berlina. Nazwali oni sztukę te reakcyjną, jako że chwalił bohaterstwo, śmierć dla idei. Wykorzystali sprytnie argument hitlerowski, zbudowali szybko dowód, że między poglądem jednym a drugim jest wiele wspólnego. Odpowiadają na to „Berliner Zeitung“ artykułem młodej pisarki Zuzanny Kerckhoff. Odróżnia ona pogotowie bohaterkie hitlerowskie w imię interesów prywatnej grupki awanturników politycznych od idei bohaterkiej zjednoczonego narodu, zjednoczonej klasy robotniczej.

LUDWIK KOCHAŃSKI

Szambelan, biskupi, wojna

List Papieża do katolickich biskupów Niemiec, którego wyrażone tendencje programistyczne wywołały zdumienie wszystkich sfer naszego społeczeństwa, znalazł tak szerokie echo w publicystyce polskiej, że właściwie należałoby może oświetlić jeszcze tylko jeden aspekt tej przykrojonej i zamiennej sprawy.

Czymże to zasłużyła katolicka hierarchia kościelna i rzesza katolików niemieckich na te szczególne łaski Stolicy Piotrowej i jaka była rola ich w ostatnim okresie historycznym, który doprowadził do okazania najbardziej chybia w dziejach cywilizowanego świata świadomego barbarzyństwa, jakim okazał się hitlerowski faszyzm?

Jaka była rola i jakie stanowisko zajmowały kierownice koła katolików niemieckich, gdy gruntuła się złowroga baza, z której w r. 1933 odrodzony imperializm niemiecki w swej nowej odmianie narodowego socjalizmu sięgnął po władzę, by z kolei pokusić się o ujarznienie świata, rozpętać drugą wojnę światową?

By na te pytania odpowiedzieć, należy przypomnieć sobie, że gdy w roku 1933 Hitler doszedł do władzy, istniały w Niemczech pożyteczne partie klerykalne, tzw. centrum katolickie i zbliżone do niego ugrupowania, jak np. bawarska partia ludowa.

Centrum katolickie, jak wiadomo, odgrywało przemogłą rolę w republice wejmarskiej, na co wskazuje m. in. fakt, że między rokiem 1920 — 1933 rządy Rzeszy były kierowane przez siedmiu kanclerzy czy wicekanclerzy z ugrupowań katolickich.

Ich to wpływom zawdzięczały Niemcy, że zwolna życie polityczne II Rzeszy przesuwało się z lewa na prawo, oni też popierali ówczesne tajne zbrojenia jak i tendencje imperialistyczne koalicji junkiersko-przemysłowo-wojskowej.

Z tych to kół rekrutowali się również pierwsi finansisci ruchu narodowo-socjalistycznego.

Już w roku 1922 działacz katolicki, ówczesny prezes tzw. przemysłowców bawarskich Kuhlo, zbierał, dostarczał m. in. środki pieniężne Hitlerowi. Zasadniczo wytyczne hitlerowców, jak walka z klauzulami traktatu pokojowego, walka przeciw uznaniu winy Niemiec w wywołaniu pierwszej wojny światowej, zbrojenia Rzeszy oraz dążenia odwetowe, znajdowały żywy odzwiek i poparcie oficjalnych kierunków partii klerykalnych oraz szerokiich kół członków.

Wreszcie wiadomość o Augustie Scholtisie, renegacie śląskim, pisarzu o niemiernych wartościach artystycznych. Kiedyś w powieściach swych szkalował polskość i Polaków, nie uchylał się nawet przed wyzwałkami pod adresem własnej swej matki, Polki. Po wojnie, którą przeżył spokojnie, m. in. także na łamach „Das Reich“, zaczął się przyznawać do demokracji, zrazu w radzieckim sektorze Berlina, potem, gdy zaczęło mu się tu bacznie przypatrywać, w zachodnich częściach Berlina. Tu też wydał swą nową powojenną powieść, poświęconą losom wysiedleńców niemieckich ze Śląska. Egzemplarz jej nie dotarł jeszcze do Polski. Na podstawie recenzji stwierdzić jedynie można, że powieść jest słaba artystycznie, że zawiera także i fragmenty autobiograficzne a mianowicie pewien obrachunek z przeszłością. Oczywiście, że nie łatwo pójść Scholtisowi bez rehabilitacji. Toteż denazyfikuje się sam na stronach swej powieści. Ciekaw jestem natomiast więcej samego wizerunku wysiedlonego. Renegat Scholtis nie mógł nakreślić wizerunku przychylnego Polsce. Po uzyskaniu egzemplarza zreferujemy książkę. WISZ.

ry to kongres obejmował najbardziej radykalne elementy spośród członków centrum katolickiego i bawarskiej partii ludowej. „Hitler — mówił Papen — stworzy nowy porządek społeczny, oparty o państwo korporacyjne. Jest to ustroj, który został zaprobowany przez Papieża (patrz Encyklika Quadragesimo Anno — przyp. red.). Musimy uwolnić się od wszystkich form liberalnych i demokratycznych. Dlatego nowy reżim, który jest antyliberalny i antydemokratyczny, musi uzyskać nasze pełne i nieograniczone zaufanie... Dzisiaj, a może nigdy już więcej — kończy Papen — wybiła w dziejach Niemiec godzina utworzenia drogi w kierunku stabilizacji ustroju społecznego w Europie i dopomożni krajowi w celu dopełnienia jego misji dziejowej aż do ostatecznego zwycięstwa...“

Z początkiem lipca 1933 r. rokowania hitlerowsko-watykańskie zostały chwilowo zawieszona, a to w dużej mierze na skutek tarć wynikłych między dołami partyjnymi organizacjami katolickimi a żołdakami SA w związku z antyreligijną akcją tych ostatnich i protestami niższego kleru.

Zmusiło to dygnitarzy kościelnych do akcji. Arcybiskup von Hauck z Bawarii, którego opinie podlegała wówczas prasa katolicka, zwrócił się do redaktorów i komitetów redakcyjnych swej prasy z apelem zaprzestania wszelkich jawnych czy ukrytych ataków na Hitlera i narodowy socjalizm i prosił (dosłownie) „aby podtrzymali z całą serdecznością duchową i gospodarczą odnowę Niemiec.“

Arcybiskup Groeber z Fryburga kategorycznie zakazał podległemu duchowieństwu uprawiania w jakiegokolwiek formie krytyki reżimu i wspomniania o jakiegokolwiek aktach prześladowania katolików niemieckich przez reżim. Obaj wymienieni arcybiskupi, jak wspomnieliśmy wyżej, wyjechali wkrótce po swych apelałach do Rzymu, skąd 20 lipca 1933 r. depesze agencje podały zdumionemu światu, że konkordat między Watykanem a Hitlerem został zawarty.

Na wspaniałym przyjęciu w salach Watykanu szambelan papieski von Papen został udekorowany komandorią wielkiego krzyża Orderu Piusa.

Szansie pisał o tym znany pisarz francuski Robert d'Harcourt, że: „zadając się na układ z Hitlerem, Watykan był pierwszym państwem, które zalegaliowało jego (Hitlera) podpis...“

Nawiasem mówiąc, w ślady Watykanu poszło w rok później pierwsze państwo świeckie, Polska, i inicjator traktatu polsko-hitlerowskiego w r. 1934 min. Beck.

Czytając ówczesną katolicką prasę niemiecką, znajdujemy ciekawe fakty, świadczące o ówczesnym postawie katolików niemieckich. „Hitlerizm — tłumaczył rapen członkom partii — jest chrześcijańskim ruchem powstałym przeciwko „duchowi“ rewolucji francuskiej w r. 1789...“

W podobnym duchu podpisał orędzie o rozwiązaniu partii Bruening i prait Kaas, domagający się od katolików niemieckich „bezgranicznego przywiązania i politycznego wkładu do nowego legalnego ustroju“...

Gdy w listopadzie 1933 Hitler zerwał z ówczesną Ligą Narodów i zażądał „plebisytu“ ludu, aprobującego ten krok, w sukces popieścił natychmiast m. in. biskupi bawarscy ze swym adresem do wiernych. „Katolicy, — mówią słowa orędzia, — zamianestuj jeszcze raz swą wierność dla odczynny i pełne poparcie dla ogromnych wysiłków Führera w kierunku ocalenia narodu niemieckiego od nowej wojny i okropności bolszewizmu.“

Takie same było stanowisko biskupów niemieckich ultrakatolickiego Zagłębia Saary w czasie plebisytu, gdzie znowu wyzwały wiernych do poparcia Hitlera, mimo, iż było to już po krwawej łani z 30. 6. 1934 i po rozwiązaniu w Niemczech Akcji Katolickiej. A wreszcie jakie było stanowisko hierarchii kościelnej w Niemczech w r. 1936 wskazuje dobitnie uchwała dorocznego zjazdu biskupów w Fuldzie w momencie wybuchu faszystowskiej rewolucji gen. Franco. W liście pasterskim z dnia 26 sierpnia 1936 czytamy co następuje: „Aby naszem Führerowi wzmocnionemu wierną współpracą wszystkich obywateli udało się z Boską pomocą doprowadzić do końca swe dzieło“...

A 13 września ponowny apel biskupów do Hitlera: „Pogrzebaj przeszłość i przyjąj naszą współpracę w walce z przejawiającym się coraz bardziej zagrożeniem świata przed komunizmem, który najbardziej uciążliwym się w Hiszpanii, Rosji i Meksyku“...

RAFAL URBAN

Gustawowi Morcinkowi i Wojciechowi Martinkowi.

Gdy jeszcze pracowałem w Anglii jako mularz i ogrodnik-kobiernik, układając dywany ogrodów z kamiennych płyt i z górskich kwiatów, poznałem ze wszystkich stron i ze wszystkich szczytów Imperium Brytyjskiego, miałem tam towarzysza Ślązaka.

Nazywał się Mortynek. Ale pisał się Morton. Bo żył już sporo lat w Anglii, a właściwie w Irlandii. Posiadał już dość dawno obywatelstwo brytyjskie i mówił z dumą niemałą: I'm a Britisher. Znaczący to: Jestem Brytyjczykiem. Nie był zwyczajnym mularczykiem, lub gardnerykiem jak mi wszyscy, których nazywał z wielkim politowaniem — „dejgus“ i „grynhorns“, znaczy „zielorogaty“ albo „miękkorogaty“. On już nawet czytać umiał po angielsku. Czytał wam na przykład grube tomy, pisane po angielsku przez niejakiego Polaka, szlachcica ukraińskiego, który tam w Anglii zaawansował był na prawdziwego barona angielskiego (z tytułem Sir). I na kapitana dalekomorskiego jeszcze do tego. Nazywał się ów Polak-Anglik, Conrad, Sir Józef Conrad. A wpróżdy, w Polsce, to Korzeniowski. Ale po katolicku było mu Józef, zwyczajnie, po polsku i po angielsku. Musiał ów Józef polsko-angielski napisać historię bardzo awanturkę, dość ciekawie i troszkę zmieszane, że ten nasz Morton-Mortynek to się zasmiał, to zapląkał nad taką książką.

Wobec chłop był twardy, nasz Morton, choć przy czytaniu taki miękki.

Nawet nasz „boss“, foreman — przodownik iryjski chwalił go i dobrze mu płacił. Lepiej niż sam. Żeśmy byli „foreign“, obcokrajowcy. Pochodził nasz Morton-Mortynek z okolic Skoczowa albo Bogumina. Z tego Śląska ostatniego kąta, gdzie dwie rzeki polskiego przeznaczenia, młoda Odra i młodsza jeszcze Wisła, tu obok siebie jeszcze jedna przy drugiej prosto na północ dąży, jakby na wyścigi, która pierwsza wpadnie na metę Bałtyku.

Był Morton znaturalizowanym Brytyjczykiem. Ale czuł się jednak Polakiem. Mnie zaś wcale nie uznawał za Polaka. Ani rusz. Ze lewej strony młodej tej Odry pochodził, z tej żywej, spokojnej, bogobojnej ziemi między Odrą a Nysą.

Jeden z najbardziej poczytnych periodyków katolickich „The Catholic Review“ (z 30. 6. 1933) porusza w artykule ks. dr. messena na marginesie zawartego konkordatu: „teraz aherezm został unieszkodliwiony i usunięty ocalałym ukiem... rozpoczyna się nowa era“...

A kardynał bertram na łamach „Katholische Zeitung“ z dnia 24. 7. 1933 r. dziękując w imię ocalałym wiernym za jego usposobienie, jak wspomnieliśmy wyżej, wyjechali wkrótce po swych apelałach do Rzymu, skąd 20 lipca 1933 r. depesze agencje podały zdumionemu światu, że konkordat między Watykanem a Hitlerem został zawarty.

Na wspaniałym przyjęciu w salach Watykanu szambelan papieski von Papen został udekorowany komandorią wielkiego krzyża Orderu Piusa.

Szansie pisał o tym znany pisarz francuski Robert d'Harcourt, że: „zadając się na układ z Hitlerem, Watykan był pierwszym państwem, które zalegaliowało jego (Hitlera) podpis...“

Nawiasem mówiąc, w ślady Watykanu poszło w rok później pierwsze państwo świeckie, Polska, i inicjator traktatu polsko-hitlerowskiego w r. 1934 min. Beck.

Czytając ówczesną katolicką prasę niemiecką, znajdujemy ciekawe fakty, świadczące o ówczesnym postawie katolików niemieckich.

„Hitlerizm — tłumaczył rapen członkom partii — jest chrześcijańskim ruchem powstałym przeciwko „duchowi“ rewolucji francuskiej w r. 1789...“

W podobnym duchu podpisał orędzie o rozwiązaniu partii Bruening i prait Kaas, domagający się od katolików niemieckich „bezgranicznego przywiązania i politycznego wkładu do nowego legalnego ustroju“...

Gdy w listopadzie 1933 Hitler zerwał z ówczesną Ligą Narodów i zażądał „plebisytu“ ludu, aprobującego ten krok, w sukces popieścił natychmiast m. in. biskupi bawarscy ze swym adresem do wiernych. „Katolicy, — mówią słowa orędzia, — zamianestuj jeszcze raz swą wierność dla odczynny i pełne poparcie dla ogromnych wysiłków Führera w kierunku ocalenia narodu niemieckiego od nowej wojny i okropności bolszewizmu.“

Takie same było stanowisko biskupów niemieckich ultrakatolickiego Zagłębia Saary w czasie plebisytu, gdzie znowu wyzwały wiernych do poparcia Hitlera, mimo, iż było to już po krwawej łani z 30. 6. 1934 i po rozwiązaniu w Niemczech Akcji Katolickiej. A wreszcie jakie było stanowisko hierarchii kościelnej w Niemczech w r. 1936 wskazuje dobitnie uchwała dorocznego zjazdu biskupów w Fuldzie w momencie wybuchu faszystowskiej rewolucji gen. Franco. W liście pasterskim z dnia 26 sierpnia 1936 czytamy co następuje: „Aby naszem Führerowi wzmocnionemu wierną współpracą wszystkich obywateli udało się z Boską pomocą doprowadzić do końca swe dzieło“...

A 13 września ponowny apel biskupów do Hitlera: „Pogrzebaj przeszłość i przyjąj naszą współpracę w walce z przejawiającym się coraz bardziej zagrożeniem świata przed komunizmem, który najbardziej uciążliwym się w Hiszpanii, Rosji i Meksyku“...

Jako katolicy jesteśmy gotowi, mimo nieufności, jaką się nam okazuje, dać państwu co mu się należy i poprzeć Führera w jego walce przeciw bolszewikom i w innych jego zamysłach“.

A jakie to były zamysły wykażala gehenna zgotowana światu przez Hitlera i jego zbrodniczy reżim faszystowski.

Tadeusz Jankowski

RAFAL URBAN

Gustawowi Morcinkowi i Wojciechowi Martinkowi.

Gdy jeszcze pracowałem w Anglii jako mularz i ogrodnik-kobiernik, układając dywany ogrodów z kamiennych płyt i z górskich kwiatów, poznałem ze wszystkich stron i ze wszystkich szczytów Imperium Brytyjskiego, miałem tam towarzysza Ślązaka.

Nazywał się Mortynek. Ale pisał się Morton. Bo żył już sporo lat w Anglii, a właściwie w Irlandii. Posiadał już dość dawno obywatelstwo brytyjskie i mówił z dumą niemałą: I'm a Britisher. Znaczący to: Jestem Brytyjczykiem. Nie był zwyczajnym mularczykiem, lub gardnerykiem jak mi wszyscy, których nazywał z wielkim politowaniem — „dejgus“ i „grynhorns“, znaczy „zielorogaty“ albo „miękkorogaty“. On już nawet czytać umiał po angielsku. Czytał wam na przykład grube tomy, pisane po angielsku przez niejakiego Polaka, szlachcica ukraińskiego, który tam w Anglii zaawansował był na prawdziwego barona angielskiego (z tytułem Sir). I na kapitana dalekomorskiego jeszcze do tego. Nazywał się ów Polak-Anglik, Conrad, Sir Józef Conrad. A wpróżdy, w Polsce, to Korzeniowski. Ale po katolicku było mu Józef, zwyczajnie, po polsku i po angielsku. Musiał ów Józef polsko-angielski napisać historię bardzo awanturkę, dość ciekawie i troszkę zmieszane, że ten nasz Morton-Mortynek to się zasmiał, to zapląkał nad taką książką.

Wobec chłop był twardy, nasz Morton, choć przy czytaniu taki miękki.

Nawet nasz „boss“, foreman — przodownik iryjski chwalił go i dobrze mu płacił. Lepiej niż sam. Żeśmy byli „foreign“, obcokrajowcy. Pochodził nasz Morton-Mortynek z okolic Skoczowa albo Bogumina. Z tego Śląska ostatniego kąta, gdzie dwie rzeki polskiego przeznaczenia, młoda Odra i młodsza jeszcze Wisła, tu obok siebie jeszcze jedna przy drugiej prosto na północ dąży, jakby na wyścigi, która pierwsza wpadnie na metę Bałtyku.

Był Morton znaturalizowanym Brytyjczykiem. Ale czuł się jednak Polakiem. Mnie zaś wcale nie uznawał za Polaka. Ani rusz. Ze lewej strony młodej tej Odry pochodził, z tej żywej, spokojnej, bogobojnej ziemi między Odrą a Nysą.

Jeden z najbardziej poczytnych periodyków katolickich „The Catholic Review“ (z 30. 6. 1933) porusza w artykule ks. dr. messena na marginesie zawartego konkordatu: „teraz aherezm został unieszkodliwiony i usunięty ocalałym ukiem... rozpoczyna się nowa era“...

A kardynał bertram na łamach „Katholische Zeitung“ z dnia 24. 7. 1933 r. dziękując w imię ocalałym wiernym za jego usposobienie, jak wspomnieliśmy wyżej, wyjechali wkrótce po swych apelałach do Rzymu, skąd 20 lipca 1933 r. depesze agencje podały zdumionemu światu, że konkordat między Watykanem a Hitlerem został zawarty.

Na wspaniałym przyjęciu w salach Watykanu szambelan papieski von Papen został udekorowany komandorią wielkiego krzyża Orderu Piusa.

Szansie pisał o tym znany pisarz francuski Robert d'Harcourt, że: „zadając się na układ z Hitlerem, Watykan był pierwszym państwem, które zalegaliowało jego (Hitlera) podpis...“

Nawiasem mówiąc, w ślady Watykanu poszło w rok później pierwsze państwo świeckie, Polska, i inicjator traktatu polsko-hitlerowskiego w r. 1934 min. Beck.

Czytając ówczesną katolicką prasę niemiecką, znajdujemy ciekawe fakty, świadczące o ówczesnym postawie katolików niemieckich.

„Hitlerizm — tłumaczył rapen członkom partii — jest chrześcijańskim ruchem powstałym przeciwko „duchowi“ rewolucji francuskiej w r. 1789...“

W podobnym duchu podpisał orędzie o rozwiązaniu partii Bruening i prait Kaas, domagający się od katolików niemieckich „bezgranicznego przywiązania i politycznego wkładu do nowego legalnego ustroju“...

Gdy w listopadzie 1933 Hitler zerwał z ówczesną Ligą Narodów i zażądał „plebisytu“ ludu, aprobującego ten krok, w sukces popieścił natychmiast m. in. biskupi bawarscy ze swym adresem do wiernych. „Katolicy, — mówią słowa orędzia, — zamianestuj jeszcze raz swą wierność dla odczynny i pełne poparcie dla ogromnych wysiłków Führera w kierunku ocalenia narodu niemieckiego od nowej wojny i okropności bolszewizmu.“

Takie same było stanowisko biskupów niemieckich ultrakatolickiego Zagłębia Saary w czasie plebisytu, gdzie znowu wyzwały wiernych do poparcia Hitlera, mimo, iż było to już po krwawej łani z 30. 6. 1934 i po rozwiązaniu w Niemczech Akcji Katolickiej. A wreszcie jakie było stanowisko hierarchii kościelnej w Niemczech w r. 1936 wskazuje dobitnie uchwała dorocznego zjazdu biskupów w Fuldzie w momencie wybuchu faszystowskiej rewolucji gen. Franco. W liście pasterskim z dnia 26 sierpnia 1936 czytamy co następuje: „Aby naszem Führerowi wzmocnionemu wierną współpracą wszystkich obywateli udało się z Boską pomocą doprowadzić do końca swe dzieło“...

A 13 września ponowny apel biskupów do Hitlera: „Pogrzebaj przeszłość i przyjąj naszą współpracę w walce z przejawiającym się coraz bardziej zagrożeniem świata przed komunizmem, który najbardziej uciążliwym się w Hiszpanii, Rosji i Meksyku“...

Jako katolicy jesteśmy gotowi, mimo nieufności, jaką się nam okazuje, dać państwu co mu się należy i poprzeć Führera w jego walce przeciw bolszewikom i w innych jego zamysłach“.

A jakie to były zamysły wykażala gehenna zgotowana światu przez Hitlera i jego zbrodniczy reżim faszystowski.

Ludwik Kochański

RAFAL URBAN

Gustawowi Morcinkowi i Wojciechowi Martinkowi.

Gdy jeszcze pracowałem w Anglii jako mularz i ogrodnik-kobiernik, układając dywany ogrodów z kamiennych płyt i z górskich kwiatów, poznałem ze wszystkich stron i ze wszystkich szczytów Imperium Brytyjskiego, miałem tam towarzysza Ślązaka.

Nazywał się Mortynek. Ale pisał się Morton. Bo żył już sporo lat w Anglii, a właściwie w Irlandii. Posiadał już dość dawno obywatelstwo brytyjskie i mówił z dumą niemałą: I'm a Britisher. Znaczący to: Jestem Brytyjczykiem. Nie był zwyczajnym mularczykiem, lub gardnerykiem jak mi wszyscy, których nazywał z wielkim politowaniem — „dejgus“ i „grynhorns“, znaczy „zielorogaty“ albo „miękkorogaty“. On już nawet czytać umiał po angielsku. Czytał wam na przykład grube tomy, pisane po angielsku przez niejakiego Polaka, szlachcica ukraińskiego, który tam w Anglii zaawansował był na prawdziwego barona angielskiego (z tytułem Sir). I na kapitana dalekomorskiego jeszcze do tego. Nazywał się ów Polak-Anglik, Conrad, Sir Józef Conrad. A wpróżdy, w Polsce, to Korzeniowski. Ale po katolicku było mu Józef, zwyczajnie, po polsku i po angielsku. Musiał ów Józef polsko-angielski napisać historię bardzo awanturkę, dość ciekawie i troszkę zmieszane, że ten nasz Morton-Mortynek to się zasmiał, to zapląkał nad taką książką.

Wobec chłop był twardy, nasz Morton, choć przy czytaniu taki miękki.

Nawet nasz „boss“, foreman — przodownik iryjski chwalił go i dobrze mu płacił. Lepiej niż sam. Żeśmy byli „foreign“, obcokrajowcy. Pochodził nasz Morton-Mortynek z okolic Skoczowa albo Bogumina. Z tego Śląska ostatniego kąta, gdzie dwie rzeki polskiego przeznaczenia, młoda Odra i młodsza jeszcze Wisła, tu obok siebie jeszcze jedna przy drugiej prosto na północ dąży, jakby na wyścigi, która pierwsza wpadnie na metę Bałtyku.

Był Morton znaturalizowanym Brytyjczykiem. Ale czuł się jednak Polakiem. Mnie zaś wcale nie uznawał za Polaka. Ani rusz. Ze lewej strony młodej tej Odry pochodził, z tej żywej, spokojnej, bogobojnej ziemi między Odrą a Nysą.

Jeden z najbardziej poczytnych periodyków katolickich „The Catholic Review“ (z 30. 6. 1933) porusza w artykule ks. dr. messena na marginesie zawartego konkordatu: „teraz aherezm został unieszkodliwiony i usunięty ocalałym ukiem... rozpoczyna się nowa era“...

A kardynał bertram na łamach „Katholische Zeitung“ z dnia 24. 7. 1933 r. dziękując w imię ocalałym wiernym za jego usposobienie, jak wspomnieliśmy wyżej, wyjechali wkrótce po swych apelałach do Rzymu, skąd 20 lipca 1933 r. depesze agencje podały zdumionemu światu, że konkordat między Watykanem a Hitlerem został zawarty.

Na wspaniałym przyjęciu w salach Watykanu szambelan papieski von Papen został udekorowany komandorią wielkiego krzyża Orderu Piusa.

Szansie pisał o tym znany pisarz francuski Robert d'Harcourt, że: „zadając się na układ z Hitlerem, Watykan był pierwszym państwem, które zalegaliowało jego (Hitlera) podpis...“

Nawiasem mówiąc, w ślady Watykanu poszło w rok później pierwsze państwo świeckie, Polska, i inicjator traktatu polsko-hitlerowskiego w r. 1934 min. Beck.

Czytając ówczesną katolicką prasę niemiecką, znajdujemy ciekawe fakty, świadczące o ówczesnym postawie katolików niemieckich.

„Hitlerizm — tłumaczył rapen członkom partii — jest chrześcijańskim ruchem powstałym przeciwko „duchowi“ rewolucji francuskiej w r. 1789...“

W podobnym duchu podpisał orędzie o rozwiązaniu partii Bruening i prait Kaas, domagający się od katolików niemieckich „bezgranicznego przywiązania i politycznego wkładu do nowego legalnego ustroju“...

Gdy w listopadzie 1933 Hitler zerwał z ówczesną Ligą Narodów i zażądał „plebisytu“ ludu, aprobującego ten krok, w sukces popieścił natychmiast m. in. biskupi bawarscy ze swym adresem do wiernych. „Katolicy, — mówią słowa orędzia, — zamianestuj jeszcze raz swą wierność dla odczynny i pełne poparcie dla ogromnych wysiłków Führera w kierunku ocalenia narodu niemieckiego od nowej wojny i okropności bolszewizmu.“

Takie same było stanowisko biskupów niemieckich ultrakatolickiego Zagłębia Saary w czasie plebisytu, gdzie znowu wyzwały wiernych do poparcia Hitlera, mimo, iż było to już po krwawej łani z 30. 6. 1934 i po rozwiązaniu w Niemczech Akcji Katolickiej. A wreszcie jakie było stanowisko hierarchii kościelnej w Niemczech w r. 1936 wskazuje dobitnie uchwała dorocznego zjazdu biskupów w Fuldzie w momencie wybuchu faszystowskiej rewolucji gen. Franco. W liście pasterskim z dnia 26 sierpnia 1936 czytamy co następuje: „Aby naszem Führerowi wzmocnionemu wierną współpracą wszystkich obywateli udało się z Boską pomocą doprowadzić do końca swe dzieło“...

A 13 września ponowny apel biskupów do Hitlera: „Pogrzebaj przeszłość i przyjąj naszą współpracę w walce z przejawiającym się coraz bardziej zagrożeniem świata przed komunizmem, który najbardziej uciążliwym się w Hiszpanii, Rosji i Meksyku“...

Jako katolicy jesteśmy gotowi, mimo nieufności, jaką się nam okazuje, dać państwu co mu się należy i poprzeć Führera w jego walce przeciw bolszewikom i w innych jego zamysłach“.

A jakie to były zamysły wykażala gehenna zgotowana światu przez Hitlera i jego zbrodniczy reżim faszystowski.

Tadeusz Jankowski

Sprawa

Powiedział mi nieraz: — Tyś taki półpampon, półgermon. Giermóziği giermańskiej za dużo-eś jadł. Amerykan z ciebie być może, zwyczajny, biznesowy Amerykan, burżuj prozaiczny i dolarowy. Taki „smart boy“, chłopc do rzeczy. Ale nigdzie i nigdy Polak.

diabelska

Zakładził mię do „cottage”. W zagrodzie stał chłop brodaty, dość chudy, dość stary, z kozibrodka szeroka i rozczochrana. Wyglądał jak mój stary w domu na Śląsku. I tak samo gąsienicę chwycił gołymi palcami z różnycy siał.

— Halo! — zawołał Szawel — Old boy. Like you some figs got very fresh. Come along.

Przyjechał stary. Musiał bardzo lubić te figi. Były to figi prosto z drzewka, którymi ten sowizdrzał Szawel anglosaskiego sowizdrzała do piotu przywabił. Figi były przekrasne, jak gruszki fiołkowe, słodkie jak miód agacowy. Wiem, bo sam musiałem skosztować. Stary ssał owoce i opowiadał, że zakazane drzewko w raju na pewno było do podwójnego użytku. Do poznania i do ubrania. A że Ewa się do niego przylatowała, to isto nie uczyniła tego z przyczyny poznania, tylko gwoli ubrania. Figowe było to drzewo rajskie a nie płonka czy jabłoń. Tak nam prawił stary.

Szawel zaśmiał się, parsknął jak koń. Ja tylko uśmiechnąłem się lekko, bo nie rozumiałem dokładnie. Potem, jakiesmy już odpywali do naszej kwatery, tłumaczył mi Szawel szepem, że był to niejaki Szaw, nie Szawel zwyczajny, ale Szaw, pisarz srogi. Socjalista światowej miary, ale nie tej anglosaskiej, fabiańskiej odmiany. Przewrotny, ostrożny, uważny. Nie za nagły po diabła jak my Słowianie. Powiedział:

— No szkoda, że już troszkę stary.
— Ty trabo! — ofuknął mnie — On nas wszystkich przeżyje. Mięsa, rozumiesz, nie je, alkoholu nie pije. Kurczy nie kurzy. Na dziółchy też nie ma czasu. Bo komedie pisze. Same komedie. Ostre i gorzkie. Ale trafne jak przypowieści biblijne. Taki to chłop, ów Karl Marx XX wieku. Imion ma dwoje: Jóra i Biernot.

Ano było to jeszcze przed rewolucją rosyjską. Nikt wtedy nie znał Lenina, Stalina... W kwietniu siedemnastego roku. Jeszcze za różowujących się czasów kereńskich.

III.

Pewnego dnia Szawel znikł. Jak japońska kamfora. Mawiał nam zawsze tak:

— Decyje wy pozór chłopcy. Wraz wam tu zniknę jak ta kamfora japońska. Nie byłem w Japonii. Nie wiem jak ona znika. Ale chyba dość nagle.

I nagle nam znikł nasz „Sully” ze swoją „Merry” ruda, barczysta i biedrzystą jak klacz brabancka.

Tesknio nam było za nimi. Wspominaliśmy ją często.
— Wiecie synkowie — rozrzedniał nas jeden — ten zapach... ów „whisky” z tą wonią fiołkową, fiołkowa jak korzenie یرسا, jak kosawice florenckie. Wiecie, z tej rudej czupryny ów zapach, z czupryny rozkoszanej i rozczapranej przez brytyjskie wiatry. Tego nam braknie przy robocie.

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy wiedzieliśmy jak to pachniało. Z nimi poszedł Pat czy Pet, łobuz, rudawiec wesoly. Bo synka też mieli, kasztanowego, maćpuckiego, maćpęgo. Nie wiem, czy mu było po iryjsku Patryk na imię, czy tylko zwyczajnie po śląsku, Piotrek, czy Pietrzyk. Bo mały też był Ślązakiem... Co prawda skromnym, przedślubnym, pamiętką „zawitki”. Chłopcy mówili, że to „grofiki”, nie mały Mortynek, ale „Grofiki”, z dużą literą. Wszystko to jednak nie bardzo ważne. Ważne, że im długo nie widział. Piótrora roku nie o nich nie słyszałem. Piótrora roku go nie widziałem. Jak kamień do wody! Po prostu już zapomniałem, że jakiś Paweł-Szawel Apostoł-Astrygół po świecie się smyka. Jenó jej woń nachodziła mnie czasem w snach.

Jednego pięknego dnia — było to w maju dziewiętnastego roku — wysłał mi „boss” do Szkocji, w okolice miasteczka Aberdeen, bardzo uczonnej mięsziny. Wysłał mi „boss” na tamtejsze zamczysko, romantyczny pałacyk, zmałpowany gotycko. Miałem w owym parku polodskim obsadzić wielkie klombry liliovymi i purpurowymi, białymi, różowymi i fiołkowymi rododendronami. Nadto dołożyć złotych, oranżowych, rudawych i pasowych azalii. Do tego dojszły rozmaite kalmie, dafnisy, eryki, berberyki i Bóg wie co jeszcze za rarytasy. Zaś na spodek begonie, szalwie, luleju, orchidee, bujne, pstrokaty, rozmaite, żeby przez całe lato bez ustanku kwitły.

Zaraz mi się tam spodobalo. Lekka, przyjemna była robota. Wszystko już naszykowano. Fachowo i rzeczowo. Torfu aż nadto. Białego bezwapiennego piasku do tego, prawdziwego wrzosoego, kwaśnego. Doły półmetrowe już wykopane, krzaki i rośliny z koszyn wypakowane i namoczone. Patrzę na rośliny: same rarytasy. Widać, że znawca tu gospodarzy. Bardzo mi się podobala jedna azalia. Isto nowa odmiana: jak kasztan czerwona, rudawa. Ale przy tym i burzynomowa. Bujna choć jeszcze w pączkach. Patrzę na etykietki. Czytam: „Merry old girl” — „wesola stara dziółcha”. Coś mi się wspomniało... przypomniało mi się... wacham, wacham... Ale nic, ani śladu jej zapachu... owej „whisky” z irysem florenckim. Gdzie się zapodział ten rudowłosy zapach irysu?

— Robota robota. A marzenia marnienia. Tylko dobre, iż ta robota wpuł już zrobiona. Widzę jednak, że nie ma jeszcze tego „krowskiego”, owej omasty dla mieszaliny torfowej. Ale otóż i nosa omastę. Niesie ją „odd job man” chłop do brudnej roboty. Już leć z wiadrami, krowskie klonty, tustose łajno przynosi. Chłop umorusany, zmurtany, osmolony jak diabeł wierutny. Isto to „foreign”. Bo „Britisher” takiej roboty nie lubi, myśle. Jednak my, garderczyki, lepiej żyjemy.

No i patrzę... patrzę...
Toż to Szawel! Paweł! Morton! Mortynek! Ale nie ów stary ponury „Sully”. Już z daleka się śmieje. Gwizdzie i woła:
— Serwis! Cher up! Old boy! Pierona! Nie śmieje się!
— Chłopie! A ty co? — tyle tylko wyrzekłem, bo aż mowę mi zatchło.

— Co jo? Jo tak sobie! Jo'ch tu „odd labour man”, chłop do szpetnej roboty, taki „odd fellow” osmolony i śmierzający. A mówiąć to, uśmiecha się bez ustanku.

Nie chciało mi to wejść do mojej gruski oświeconej. Bo tu chłop nauczony, fachowy, akordowy roboter pierwszej klasy, najwyższego szczebla, niemal już „boss”, prawdziwy iryjski „citizen of the empire”, nagle w „hajduka latryńskiego” się zamienia. Nie można... nie można... Sypałem go:

— Chłopie! Co to ma znaczyć? Rozumiesz stracił z tego wrózenia nad sprawą diabelską? Póńboczek cię pokarał? Czy co?

— Wiesz chłopie — uśmiecha się i mówi — Nie kara! To biogławstwo. To moje zbawienie... Ta brudna robota to specjalna robota... dla mnie.

Myśle sobie: Jednak mo rozum przez diabelską dziurę z głowy wyleciał. A on dalej tak prawi — wesolo, że śmiechem... że w diabla już wierzy. Wierzy w diabła. I wesolo ma na tym świecie z tą diabelską wiarą i z tą diabelską robotą latryjską.

— Świętą prawdę ci gadam — przekonuje mnie — Bo widzisz to tak: Diabeł, rozumiesz, to „Gods own odd labour man”. On BOGA PANA chłop do brudnej roboty, chłop specjalny, kopiodł, hajduka latryjski, nawet rakarz. Takim go BÓG stworzył. Bo Mu i takiego trzeba. On JEGO najniższy służacek. A wszyscy mu wzgardzą, borokowi, że tak śmierzid okropnie. Nie jest wielkim herosem ten diabeł. Nędzny to borok, jak ja albo i ty. Ano, trzeba i modlić się do niego, do wszystkich tych nędznych diablików, którzy na ziemi brudnej roboty pilnują, krwawej smolonej, śmierzającej. Bo BOG PAN tak im nakazał. Oni to JEGO „odd job mans”, chlopi do specjalnej roboty.

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Stracił swój rozumek? Ale oto już idzie ona „Merry Old Girl” ze śniadaniem. Dla niego i dla mnie. Dwie flaszki porteru. Marynadę iryjską, prawdziwą. „Sode” i „skocz” do tego. Sama już też pija. Śmieje się, śmieje i śpiewa. I bardzo, bardzo się chwali, że ją „Sully” już wcale nie pierze, chociaż i ona jeszcze tak niekiedy... ale tylko szklanceczkę „sody”... i tylko kropelczkę „whisky” do tego... i bardzo już rzadko bez „sody”. Bez „whisky” to „soda” może zaszkodzić. Różne to bowiem bakcylki i bakteryjki kręcą się po świecie.

Zaśmiał się Szawel-Paweł.

— Nie klinj — krzyczy — Ani na bakcylki ani na bakteryjki, nawet na te nowomodne wirusy lepiej już nie kład. Toteż „Gods own odd job boys”, Boga chlópaki do brudnej roboty. Niech swoje robią. Nie będzie tyle zginiłymi na świecie U Huxleya możesz się tego nauczyć. I wojny i umory i kleski głodowe, to wszystko JEGO robotnicy do „specjalnej” roboty. Chwalmy BOGA i jego najniższych służalców, chochlików i diablików, chociaż nam brudzą i śmierzają. Chwalmy ich, chwalmy!

Na to ona, ze śmiechem:

— Well, well! No dobrze! Wypijmy! Na te bakteryjki. Żeby się dobrze zmnożyły na świecie — i dodala — Wiesz ty, mój boy, że się u nas też zmnożyły? Przybala nam parka „two little devils”, dwóch małych diablików, rudowłosych jak „Merry Old Girl”.

IV.

Na Zielone Świątki szedłem do Aberdeen. Do kościoła. Ze starego przyzwyczajenia po prostu a nie z pobieżności. Po sumie kupilem sobie jakiś tam „Gościk Niedzielnny”. Nie polski, lecz szkocki, oszczędny, mały arkuszec jeno. Potrzebowałem troszeczkę papieru. Nie miałem przy sobie. Ano, przy takiej przyležitosci przeczytałem sobie, co tam ci angielscy czy szkoccy biskupi w swoich „Gościkach” wiernym czytelnikom prawią.

Czytam, czytam... moim oczom nie wierzę... czytam historyjkę pod tytułem: „Gods own odd job man”. A podtytuł do tego „A Christian shortstory”. Znaczy: krótkie opowiadanko chrześcijańskie. Była to ta sama historyjka, którą wam tu napisałem. Tylko że krótsza, niby biblijna przypowieść.

Może ktoś teraz powie: Plagiat! Cudze to piórko! No trudno: Zagadnienie sumienia. Dość skrupulatne. Chociaż ja już nie taki, nie taki zbyt skrupulatny jak te stare panienki. Choć słuchajcie: gdybym posłał tę historyjkę „szorstoryjkę” do Ameryki, do jakiegos tam agenta literackiego, a ten by ją sprzedał wydawcy jakiegos pstrokatego magazynu, to bym mógł dostać dwieście nawet i trzysta dolarów za taką bzdurę. Bo magazyny te nawet i murzynskie bajki drukują. Szło by. Bo mam tam przyjaciół Murzynów. Wyglądają jak diabły czerniste. Ludek to pobożny. Jak archanioły śpiewają. Bo i niekiedy do kościoła chodzą. Ale osobno. Żeby ich PAN BÓG przez omyłkę nie mieszał z białymi Amerykanami. Bo ci są gorsi, ostrzyż. Ale amerykańskie zyltki. „Gods odd labour man” do ostrej roboty. Ale płacić, to dobrze płać. Nawet za takie opowiadanie chrześcijańskie. Dobrze płać. Jeśli opowiadanie naturalnie jest dobre.

Dałem opowiadanie do polskiego pisma. Trudno, może na zerołówni zarobić. Trzeba próbować. Bo bosso już łązę od kwietnia. A teraz już lato. Po ściemniach to zga. O! Gadam i gadam... a zapomniałem, że ów lordowski cuntry-plate albo manor nazywał się Damask-Hill, co znaczy: Górka Damasczeńska. Ano. Damaszek. Skót, co tam mieszkał, był synem bogatego kupca bławatnika, który adamskim handlował na Bliskim Wschodzie. Syn jego także przy tym swoje zarobił. W „secret service”, w tajnym wywiadzie u Arabów. Ale to już całkiem inna historia, niebiblijna. Tylko, że z tej przyczyny handlowej i wywiadowej zamek ów nazywał się „Damask-Hill”.

Być może, że tylko głupi, zwyczajny przypadk. Niech tam! Jakiesmy wtedy tę parkę malutką, rudowłosą obiali, wówczas on Szawel mówi mi:

— A teraz powiedz mi: Pawle! Bo Damaszek jest tutaj, i kobiernikiem czechmańskim tych dywanów kwiatnych wcale już nie będą, bo muszę propagować wiarę w diabła. Ludzie go tak mało szanują, jego ciężką robotę, usmoloną i śmierzającą. A wiesz skąd pochodzą? Z małego gospodarstwa przy bagnistym stanie między Wisłą a Odrą. To bagnisko nazywało się pikielko. A chatupka nasza „Taryzsko”. Nie Tharus, tylko „Taryzsko”.

Merry, już troszkę pijana, tupiała i woiała:
— Well, well, oil korrekt. A ja jestem... ja... wiecie wy chłopcy... że ja jestem bestia babilońska, wielka tajemnica, matka wszechświata i obrzydliwości ziemskiej! Czemuż się dziwiście? Czemu maj boys?

Wołała i płakała jak dziecko w kołysce, całując nas z siłą ogromną, porwijając na pierś, płacząc.

Może mi się cała ta historia tylko przysniła. Często mi się tak zdarza. Czytam we śnie całą historię w jakimś mi bliżej nie znanym języku. Może we śnie czytałem ów „Gościk Anielski”. Diabeł tam wie. Bo on i we śnie swojej brudnej roboty pilnuje. Niejaki profesor Freud Zygmunt we Wiedniu wykrył go przy tej krecej robocie. Ochrzcił go naukowo: otdąd nazywa się Kompleks. Już wszystko? Niczego nie zapomniałem? Ano: powiedziałem Wam chyba, że stara to już bajka. Trzydzięci lat temu, pracowałem w Anglii. Przekleście się zmienił od tego czasu nasz świat. O Boże Święty! O diabie przekleństwo! Ale po co kłąć? Kłątwa światka nie odmiensz. Bądźcie spokojni! Bo go diabli przemienia. A nie na gorsze, tylko na lepsze. Jak te bakteryjki, wiruselki poczwice. „Zmienka, zmienka” stara to piosenka boskich młynów powoli mielących, po lekku, po lekku, Pacholka do brudnej roboty w bożym młynie znacie już. Jest także młynarzem, chociaż, nie białym jak boże anioły, ale czarnym, zmurczanym, zbrabranym. Proszę nie klinjcie nań. Proszę! Nie wszystko zrozumiecie. Nie szkodzi! DIABLI to mają rozumieć. Dla nich to napisałem, z trudem ogromnym. Tylko, że oni takich bzdur nie czytają. Akta czytają. Ja zaś pisałem, ocalać mają duszę. Och, Merry. I ty Szawle. Skąd na mnie spozierasz?

Rafał Urban

STANISŁAW CZERNIK

Nie szaber lecz siaber

Sprawy małe i wielkie jednakowo są ważne na Ziemiach Odzyskanych. Dlatego drukując poniżej teksty, uważaj na temat szaber-siaber, wierzymy, że uzupełniają one rzeczywistość Ziemi Odzyskanych, odtwarzaną na łamach „Odry”.

I.
Znającąca w tytule wyświecyły wydzwięk i pisownię popularnego wyrazu (siaber — nie szaber, siabrować — nie szabrować), zgodnie z jego wschodnim pochodzeniem, nie mającym żadnego związku z szabem, skrójonym z niemieckiego, będą jednak tam, gdzie trzeba, stosował dotychczasową ortografię, pozostawiając troskę ostatecznego rozstrzygnięcia wymowy i pisowni komisjom językoznawczym i ortograficznym. Być może bowiem, że wbrew rodowodom „szaber” utrzyma się, siła faktu dokonanej, w obecnej formie, rozpowszechnionej w mowie ustnej, w druku, w literaturze, wreszcie w ustawodawstwie, jak świadczy o tym art. 29 dekretu o przestępstwach w nr. 53 „Dziennika Ustaw” z dnia 7 grudnia 1945 roku. Byłaby przecież pewna nielogiczność i niepoprawność językowa, gdyby forma obecna pozostała, i warto może wspomnieć się o ten drobniadunek. Miękkie i trochę śpiewny „siaber” bardziej jest zgodny z duchem języka polskiego, niż tpy „szaber”, i powinien w dalszym rozwoju wrócić do pierwotnego stanu. Ucho polskie, o ile dopomoga mu językoznawcy, szybko uchwyci jego istotną właściwość dźwiękową, i jak w swoim czasie odrzucił „Ślązak” na rzecz poprawnego Śląska, jak nie dopuścił do rozpowszechnienia się „wiszni” zamiast swojskiej wisni, tak również łatwo może przyswoić sobie „siaber”, a odrzucić „szaber”. A trzeba dodać, że wyraz siaber, po przywróceniu mu właściwej fonetyki, nabiera innej barwy, przekształca się na wyraz ubliżający karczącej miły.

Więcej materiału do analizy dostarczył autorowi czasownik: podszabrować, wyszabrować, zaszabrować, oszabrować, — wszystkie jednak, oczywiście, znaczeniem łączą się z technika, „poziostają w bezpośrednim związku z szabrem narzędziem”. Dopiero w gwarowym, żłodzijskim ujęciu, daje się zauważyć łączność „szabrowania” z dzisiejszym szabrem. Właśnie wywołone przez Doroszewskiego u Karłowicza — Kryńskiego, „wyszabrować”, jako „żłodzijskie — wydobycie się, wydość, wykreślić się, wykpić się: wyszabrował się z kwaczu wiarusy”, — lub również żłodzijskie „roszabrować”, jako „obrać z czego, odebrać, złupić” wskazuje, że i w Słowniku Karłowicza zmieszane zostały dwie warstwy fonetyczne, i w cytowanym wyrażeniu „wyszabrować” należy rozumieć jako „wsiabrować”, podobnie jest z wyrazem „roszabrować” (rosziabrować). Ale nie ma tam jakiegokolwiek łączności z murarskim szabrem.

Toteż niesłuszny jest wywód Doroszewskiego: „Nie ulega wątpliwości, że w żłodzijskim ujęciu techniczno-rzemieślniczego terminu szabrować tkwi pomyłki wyrażenia dzisiejszego, tak spopularyzowanego i powszechnego szabrowania”. By czytelnik łatwiej mógł przyzwyczoić sobie ów wywód, autor barw nie opowiada rzekome jego dzieje: „Historia wyrazu jest dość charakterystyczna. Przez długie lat dziesiątki pedził on skromny żywot w językach specjalnych zawodów i jeszcze nie ty, e skromniejszy, ile mniej widoczny, w wiechu

II.

Jak dotychczas, najpoważniejszą próbą naukowego wyjaśnienia rodowodu omawianego wyrazu jest rozprawka Witolda Doroszewskiego w tyko co ogłoszonej przez Radiowy Instytut Wydawniczy książce „Rozmowy o języku”: „O wyrazach szaber, szabrować i pokrewnych”.

Autor stawia zagadnienie: „Kąd się wzięły w języku polskim „szaber” i „szabrowanie”. Szusnie znaczy: „Wbrew temu, co sądzi wiele osób, nie są to, materialnie biorąc, wyrazy zupełnie nowe, powstałe dopiero we wrześniu 1944 roku w Warszawie. Ta data jest również więcej tylko datą ich „wybuchu”; w pewnym, określonym znaczeniu w języku ogółu mówią-

Poprawki graniczne

Książdz dziekan. Szewczyk nie był w kraju lat 20. Przez suedouchowne władze został jako trzydziestoletni kapłan wydelegowany do naszych ośrodków na pomocy Francji, teraz wraca na uczczenie zwierzchników suych do kraju. Stawi się w Radomiu i nie wie gdzie go skierują. Kto wie czy nie na Śląsk.

Książdz dziekan nie jest zbyt posunięty w latach. Ma ich 51. Mimo to jest siwuteńki do zupełnej białosci. Natiomiast tuwar ma zupełnie czerstwą. Twierdzi, że dość szwendania się po obczyźnie. Niech na jego miejsce przyjdzie młodszy ksiądz, który zna obecną Polskę.

Rozgadujemy się. Książdz odkorkowuje święty koniaczek. Nie pamiętam już nazwy, tylko jakieś napisy po francusku i łacinie na nalepcy gloszą, że należy się z nim dzielić tylko z dobrymi przyjaciółmi. Książdz dziekan rozczęstowuje swój koniak na prawo i lewo, nie zważając, czy biesiadnicy wygaszają sentencje fideistyczne, czy antyklerykalne. Blagam go, aby dowieź do kraju, niewiele pomaga. Wypijmy, powiadam, lepiej moje wino, na co książdz nie przestając rozdawania koniaku, odkorkowuje i wino, ale... swoje.

A jest już granica niemiecka. Haargarten nazywa się stacja. Po zawrotnej cenie, jako że już granica, można od Szwabów kupić piwa. Wielu to czyni, bo trudno, trzeba się zaopatrzyć w coś do picia, czeka nas parę dni drogi przez Niemcy i zupełnie nie wiadomo, czy da się coś kupić, zwlaszcza do picia, a marek nikt nie ma. Tu więc na granicy wysupłuje się rzeszkę franków, jakie się jeszcze płaczą po portmonetkach. Jedziecie w niewiadomo, nawet nieudna lokomotywa i kuchnia zaopatrują się w maksymalny zapas wody pod pompą. I zęgnamy lotaryńskie paprocie i dęby na ciasných amfiteatrach niewielkich wzgórz, by zanurzyć się w kraj ciemnożółtych domów i ceglanych dachówek.

Ze stacji odjeżdża pociąg niemiecki idący w tym samym co my kierunku, ale szybciej od nas. Przed chwilą odeszła torpeda nie lśniąca i nieelegancka, ale wygodna i szybka. I torpeda i pociąg i my mineliśmy już żółte domki i wita nas niemiecki las pierwszymi świerkami wśród dębów i młostwem sosen. Jeszcze widzimy oddalający się pociąg niemiecki, nie przelotczo-

nym znaczeniu legendarny siaber jest członkiem wspólnoty, uczestnikiem ruskiego odpowiednika „zadrugi”.

Już Naruszewicz wiedział, że siaber znał Dniapru pochodzący „Rusini Połowców dla częstych przemierzów i sąsiedstwa w języku swoim zwali kunami czyli kmo-trami, siabrami, pobratymcami”. Na tej podstawie siaber, a również gwarowy, radszy siaber, w dopelniaczu: siabira) został przez Karłowicza określony jako „pobratymiec, krewniak, kum, brat, druh, towarzysz, kolega, wapólnik”. W Słowniku Litewskim z roku 1693 wyraz siaber tłumaczony jest jako uczestnik: „Chociajby też kilka albo kilkanaście uczestników albo siabrow w jednym rzeczy było...”, lub „jak bracia niedziela, albo uczestnik, to jest siabrow, pozywać”.

Drugie znaczenie, uważane przez Karłowicza za prowincjonalizm, widocznie mniej rozpowszechnione, lecz dla naszego zagadnienia szczególnie ważne: „siabry — osoba biła, stale ze sobą handlująca”. U Aleksandra Wajlickiego wyrażenie: „my z sobą jesteśmy siabrami” oznacza, że prowadzimy ze sobą handel. Widzimy, jak rozległy jest zakres rzeczownika osobowego „siaber”. Karłowicz zna również rodzaj żeński: siabrowka, „kobieta stale z kimś handlująca”. Nie zna natomiast wyrazu siabrownik.

Siaber występuje nie tylko w znaczeniu osoby, uczestniczącej w jakiejś czynności (m. in. w handlu), siaber wymieniony jest również jako sama czynność, związane z czasownikiem siabrować. „Siabrować” określone, jako prowincjonalizm znaczy, być z kim siabrem, kupować stać, jeden u drugiego, ale Słownik Litewski Orgebrandta wymienia również łarobliwe znaczenie wyrazu siabrować: „zamierzać co pochwycić”; i to właśnie najbardziej niejednoznaczne w naszym wypadku, zamierzać co pochwycić, najlepiej tłumaczy, skąd się wziął współczesny „szaber”.

Siaber od dawna należał więc do bogatej rodziny. Dodajmy, że słowniki znają także rzeczownik szabrowanie, a nawet siabrownictwo, i odpowiedni mu czasownik siabrować się.

Jak widzimy, wyraz o właściwym brzmieniu siaber (nie szaber) istnieje w języku polskim od wieków, rozpowszechniony szczególnie w Bugiem; jego zawartość treściowa w jednym odgałęzieniu znaczeniowym (handel a także dągniść grabieżcze) zupełnie dobrze odpowiadać tej czynności, którą znamy jako „szabrowanie”. Nie ma więc w tym wyrażeniu neologizmu, jak również związku genealogicznego z murarskim szabrem-zwirtem lub rzemieślniczym szabrem-suwalkiem czy pilnikiem.

Wykład o szabrowaniu zbliżył się do końca. Zamiast właściwego zakończenia, proszę o odczytanie początku, gdyż tam umieszcilem sugestje, które może powinien być na końcu. Ale chciałem ciekawszym wstępem zasłabować uwagę cierpliwego czytelnika.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Stanisław Czernik.

Wśród czasopism

Nareszcie na rynku wydawniczym zaczynają się dziać rzeczy, które można by nazwać wydarzeniami. Nareszcie przychodzi fala książek, stanowiących kapitał dla każdej biblioteki publicznej, nareszcie rusza ofensywa kulturalna poprzez książkę dobrą i stosunkowo tanią.

Najważniejsze z tych wydarzeń, to wydanie narodowe Mickiewicza. Naupominaliśmy się o nie tyle, że już same te apele o realizację uchwały Krajowej Rady Narodowej wypełniłyby jeden tom, który jako XVI mógłby stanowić aneks do piętnastotomowego wydania dzieł poety. Ale wrzeszcząc nieubłagany bieg czasu uczynił wydanie to kwestią narodowego prestiżu. Pierwsze cztery tomy, otwierające edycję mają uciec 150 rocznicę urodzin Mickiewicza. Przy okazji warto dorzucić, że drugim użyczeniem tej pięknej chwili powinien stać się dramat Romana Brandstaettera „Noce narodowe”, który niewątpliwie znajduje się na czołowych scenach polskiej jesieni br. Kojejno fragmentami drukuje go teraz rosnący w siłę i nakład krakowski „Dziennik Literacki”.

Sto tysięcy nakładu tego wydania winny sprawić, że książka Mickiewicza stanie się codzienną książką polskiego czytelnika. W przedplacie cena, jak na nasze warunki, jest fantastycznie niska: 200 zł za tom. Wierzymy, że szata graficzna, nie będąc bogatą, będzie piękna, że zbliży się do wspaniałego, niedokończonego wydania sejmowego sprzed wojny, które jest tak piękne w swojej prostocie, że księgie bierze się do ręki z nabożeństwem. Piękna szata graficzna zmusza czytelnika do szacunku dla książki, robi go w małym zakresie bibliofilom. A oddając książkę do rąk masom, musimy uczynić wszystko, by wzbudzić w nich należyty szacunek dla niej. Pierwsze cztery tomy mickiewiczowskie, nad którymi pracuje już drukarnia, ukazują się równocześnie w dniu 15 listopada br. Obejmą one całość twórczości poetyckiej Mickiewicza. Tom pierwszy zamknięcie wszystkiej poezji drobniejszej i opracowany będzie przez prof. Wacława Borowego, tom drugi, w opracowaniu prof. Konrada Górskiego przyniesie epikę Mickiewicza („Grażyna”, „Konrad Wallenrod”, „Gjaur”), twórczość dramatyczną poety przygotował dla tomu trzeciego prof. Stanisław Pigoń, a tom czwarty, zawierający „Pana Tadeusza” stanowi niespodziankę poetycką: opracowanie jego powierzono prof. Julianowi Krzyżanowskiemu, chociaż przyzwyczajeni byliśmy, że nierównym znawcą tej epopei jest prof. Pigoń, podobnie jak prof. Kleiner zdobył zasłużony monopol na „Beniowskiego” Słowackiego. Ale drugie lata pracy Pigońa nad „Panem Tadeuszem” położyły tak

mocne i trwałe podwaliny pod wiedzę o tym arcydziele naszej poezji, że dziś kolej na kontynuację tej pracy przez innych badaczy. Wydanie kontynuowane będzie w czterech seriach. Następną z kolei seria obejmie pisana prozą, seria trzecia wykładki o literaturze słowiańskiej i „Trybunę Ludów”, czwarta — przemówienia i listy. Rzeczą prestiżu „Czytelnika” będzie, by serie te ukazywały się w niewielkich odstępach czasu i byśmy to pierwsze powojenne wydanie Mickiewicza otrzymali do końca r. 1948.

I znów niechaj błogosławiony będzie nieubłagany bieg czasu. W „Odrodzeniu” nieoceniony już przypomniał, komu trzeba, że w dniu 3 kwietnia 1949 przypada setna rocznica zgonu tego, który był Mickiewiczowi przeciwnym bogiem — Juliusza Słowackiego. Dotychczas głucho było u nas o tej, zbliżającej się wielkiej dacie, którą nauka polska i literatura powinny uczcić wielkim kongresem filologów i pisarzy. Ale nie zapomnieli Żelazda Narodowi im. Ossolińskich. Pod kierunkiem Juliusza Kleina rozpoczęli już prace nad wydaniem „Dzieł wszystkich” Słowackiego, z których dwa pierwsze tomy ukazały się już w roku bieżącym. Co więcej: w stu-lecie śmierci tego „geniusza naszej poezji i poetyczności”, jak nazwał go kryw w wymienionym artykule, wydanie dzieł Mickiewicza i Słowackiego wydanie popularne

dzieł Słowackiego. Ossolinem po cichu dystansuje „Czytelnika” punktualnością i rozmiarem. Bo „Czytelnik” do naukowego wydania zbiorowego Mickiewicza, oparte na zachowanych tomach edycji sejmowej przystąpi dopiero po ukończeniu wydania popularnego. A „Biblioteka Narodowa” Ossolinem przygotowuje jeszcze reedycję niektórych tomów swej serii pierwszych obejmujących dzieła Mickiewicza i Słowackiego. Wznowione zostaną przede wszystkim Mickiewiczowa poezja w nowym opracowaniu Kubackiego, ukazała się Słowackiego „Lilla Weneda”, „Beniowski” i „Balladyna”. Byłoby jednak pożądanym, by chociaż na popularne wydanie Słowackiego ogłoszona została przedpięta ratalna, bo zwyczajnemu „odbiorcy” trudno będzie się zdobyć na jednorazowy zakup. A zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych jest do zapamiętania tyle pomniejszych szaf bibliotecznych, gdzie po usunięciu pozostałości po poprzednich gospodarzach magazynuje się kaszę i mąkę w podręcznych ilościach.

Inne wydarzenia już pokrótce: dwudziestotomowe wydanie dzieł Bolesława Prusa ogłosła Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”, dając dla abonentów edycję dwa tomy bezpłatnie. Państwowy Instytut Wydawniczy zapowiada Siemkiewicz i Wyspiańskiego. „Wiedza” wydaje Dygasińskiego. Gebethner i Wolf też przygotowuje swoich klasyków. „Czytelnik” kontynuuje Zeromskiego. Wszystko to budzi radość i mały egoistyczny żal:

skąd wziąć na to wszystko pieniądze? Trzeba będzie nowego hasła: oszczędzajmy na książkach! Pozostając już na niedzielę dzisiejszą przy temacie książki, warto zwrócić uwagę na książkę żywą, tzn. mówioną. Polskie Radio zaczyna zdobywać zasługi literackie. Jeden z tytułów do tych zasług to wprowadzenie do programu dawnej powieści polskiej i obcej. Dawna, dziewiętnastowieczna powieść realistyczna przeżywa po wojnie swój wielki renesans. Może należy to przypisać niedostatecznej ilości książki nowej na rynku wydawniczym, a może jednak jest to znak, że pojawia się nowy czytelnik, dla którego formy pisarskie sprzed lat kilkudziesięciu są jeszcze bliższe niż piarstwo nowoczesne. Polskie Radio po Zeromskiego „Popoiach”, Łozińskiego „Zakletym dworze” czyta obecnie w codziennych odcinkach Prusa „Zimnocypanki” oraz Konstantego Paustowskiego powieść „Dawne lata”. Obydwoh odcinków słucha się z satysfakcją, przy czym dobra recytacja podwyższa walory utworów. W ten sposób Polskie Radio w sposób racjonalny i pożyteczny propaguje i popularizuje dobrą powieść starych pisarzy. Przypuszczam, że nie pozostanie to bez wpływu na ich poezję.

W dniu 1 lipca br. Polskie Radio rozstrzygnęło wielki konkurs na małe opowiadanie. Konkurs był rzeczywiście wielki, gdyż nadesłało przeszło 4.000 utworów. Dzielnicy jury uporali się z nimi terminowo i w dniu 1 bm. otrzymaliśmy nazwiska laureatów. Nazwiska zu-

pełnie nieznane. Pierwsza nagroda — Bronisław Długoszewski, druga — Róża Ostrowska i tak dalej, podczas gdy pierwsze imię lub więcej znane nazwiska literackie pojawiają się dopiero w dalszych wyróżnieniach. Trudno dziś powiedzieć, czy konkurs przyniósł odkrycie nowych talentów, czy też wyróżnił lepiej udane prace ludzi, parających się piórem przypadkowo. Nagrodzonych jest tak wielu razem z licznym zastępem wyróżnionych, że może rzeczywiście kryje się w tej plejadzie jakaś przyszła sława literacka. Radio zamierza najeńniej prace konkursowe wydać drukami. Wówczas dopiero stwierdzimy na dobre, z kim mamy do czynienia i czy będzie z tej mąki chleb. Konkurs nie budzi już zaufania. W sposób obiektywny i dostatecznie umotywowany zaufanie to u optymistów mógł podważyć drukowany przed rokiem w „Twórczości” artykuł Mieczysława Turowskiego, omawiający rezultaty konkursów dramatycznych w Polsce w ostatnich kilkudziesięciu latach. (K)



Na Cieszyn zwracamy coraz baczniejszą uwagę. Cieszyn, brama do bratniej Czechostowacji, staje się znowu kluczowym miastem Polski. W reportażach narzawo go już wziętem serdecznej przyjaźni i miastem nowej miłości. My pragnęlibyśmy zwrócić uwagę na bogaty żywot kulturalny miasta, zwłaszcza na grupę malarstwa, która tu po obu stronach Olzy rozwija żywą działalność. Kilku pisarzy, do których i Morcinek należy, oraz uczonych z Franciszkiem Popoitiem na czele pozwala myśleć o mieście i regionie cieszyńskim z większym optymizmem i ufnoscią. Na zdjęciu głowa księcia Przemysława z Muzeum Miejskiego.

Stanisław Hulsztynski



Stanisław Hulsztynski, autor książki „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego”, w dziedzinie plastyki zaś H. Tomaszewskiemu i J. Powidzkiemu za całokształt ich działalności malarskiej na Pomorzu Szczecińskim.

Nagroda wyraża się sumą 100.000 zł dla Stanisława Hulsztynskiego, oraz sumą 50.000 dla p. Tomaszewskiego i sumą 50.000 dla p. Powidzkiego.

Redakcja „Odry”, której współpracownikami jest Stanisław Hulsztynski, składa mu niniejszym serdeczne życzenia z okazji przyznania mu nagrody m. Szczecina. W najbliższych numerach pomieszczy obszerny artykuł o jego działalności pióra Jerzego Antoniewicza. Niniejszym zaś podajemy parę szczegółów biograficznych nagrodzonego pisarza.

Urodzony 13 kwietnia 1891 r. w Kosowie m. Obrą pow. gostyńskiego, w.ł. poznanejskiego, ukończył Stanisław Hulsztynski szkołę średnią w Krakowie 1913 r. Studia uniwersyteckie w zakresie neofilologii odbył w Mo-

nasterze, Monachium, Poznaniu i Warszawie, uzyskując w 1926 r. doktorat z filologii angielskiej za rozprawę „Polskie przekłady Miltona i Pope’a”.

Od roku 1920 do 1939 pracował jako nauczyciel szkół średnich w Warszawie, ogłaszając jednocześnie szereg prac, m. in. „Liryka angielska XX w.” (1929), „Angliofil Edmund Naganowski” (1929), „Listy Stanisława Przebysławskiego” tomy I, II (1937—1938), „Od Szekspira do Joyce’a” (1939), „Katolicyce poeci Anglii” (1939), „Nad szereg przekładów, wydawnictw szkolnych i kilkaset artykułów w „Wiadomościach Literackich”, „Przeglądzie Współczesnym”, „Ruchu Literackim” i innych.

Pochodzący z kresów zachodnich, uwzględniał w swej twórczości głównie tematykę zachodnią. Dotyczy to zarówno studiów nad Przebysławskim i monumentalnej pracy „Kronika wojny polsko-angielskiej” (1939), „Wielkich Wielkopolskich”, „Piaście” inowrocławskim oraz ogłoszenia poezji regionalnych w cyklu „Nad Wartą, Notecią i Obrą” (1931—1936).

Podczas okupacji pracował w tajnym nauczaniu jako dyrektor b. gimnazjum Lorentza w Warszawie. Mianowany dnia 5. 4. 1945 delegatem Ministerstwa Oświaty, zorganizował jako pierwszy kurator okręgu szkolnego szczecińskiego, szkolnictwo polskie na Pomorzu Zachodnim. Na marginesie swej pracy pionierskiej tych gorących miesięcy roku 1945 napisał kilkanaście reportaży, drukowanych w „Odrodzeniu” i „Odrze” i zebranych w osobną publikację pt. „W piastowskich grodach Pomorza Zachodniego”. Tej to pierwszej drukowanej na Pomorzu książce znanego pedagoga, kuratora i pisarza przyznana została nagroda literacka m. Szczecina na rok 1948.

Autorem pracuje obecnie w uniwersytecie warszawskim w swej specjalności angielskiej, habilitacja się w roku 1946 po powrocie z Pomorza, ogłosił ostatnio w „Wiedzy Powszechnej” broszurę „Wizerunek Williama Szekspira”, autor redaktor „Biblioteki Ziemi Odzyskanych” związany jest nadal z kresami zachodnimi, dla których w serii swych w PWZWS opublikował w ostatnich dwóch latach przeszło 25 pozycji, dotyczących dziejów i kultury Śląska, Pomorza Zachodniego i Mazowsza Pruskiego. Kora.

W następnym numerze: „U pisarzy słowiańskich”

Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej wspólnie z Centralną Księgarnią Rolniczą „Samopomoc Chłopska” ogłaszają

KONKURS NA UTWORY LITERACKIE

o tematyce związanej z tendencjami i dążeniami świata pracy, nadające się do wygłaszania indywidualnego oraz inscenizowania zbiorowego przez większe zespoły artystyczne. Intencją organizatorów konkursu jest, aby utwory dawały wyraz obecnym przejawom życia społecznego, a w szczególności: reformie rolnej, mechanizacji wsi, idei spółdzielczej, współzawodnictwu pracy i sojuszuw chłopsko-robotniczemu.

Forma utworu dowolna. Pożądane są:
a) wiersze,
b) krótkie utwory sceniczne,
c) oryginalne opracowania inscenizacyjne.

Na konkurs należy nadsyłać prace nigdzie dotąd nie drukowane, w terminie do dnia 30 września 1948 r. pod adresem: Zarząd Główny Związku Samopomocy Chłopskiej, Warszawa, Pl. Starynkiewicza 7 — z dopiskiem „Konkurs literacki”. Prace podpisane godłem należy przesłać w kopercie, wewnątrz której winna znajdować się druga, zaklejona koperta, opatrzona tym samym godłem, zawierająca kartkę z nazwiskiem autora i jego adresem.

Warunki konkursu:
I nagroda — 60.000,— zł
Dwie II nagrody po 40.000,— zł
Trzy III nagrody po 30.000,— zł
Cztery IV nagrody po 10.000,— zł

Zastrzeżenie: prawo innego podziału nagród między wyróżnionych uczestników konkursu. Organizatorzy konkursu zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa w wydaniu nagrodzonych prac w wydawnictwie zbiorowym przeznaczonym dla świetlic — na warunkach ogólnie przyjętych, jak również prawo inscenizacyjnego opracowania nagrodzonych utworów. 72

Krótkie spiecia

Sennik egipski

Ponieważ ONZ nie jest instytucją doskonałą, więc niejaki pan Leon Stryjski z Krakowa wystąpił z projektem nowej organizacji pokoju, aczkolwiek nie jako jej autor, lecz jak sam pisze, jako „odp. i pełn. zastępca autora” (autora n. b. anonimowego). Piszę zaś to w obszernej broszurze (65 bitych stron maszynopisu), wydanej jako rękopis, p. t. „1000-lecie pokoju — Powszechna Przysięga Pokoju, i rozszerzanej rozmatywną redakcją, jak i poszczególnym wybitnym osobistościom w rodzaju p. Trygwe Lie, Papieża Piusa XII i in.

Co jednak (prócz niedoskonałości ONZ) skłoniło autora oraz jego „odp. i pełn. zastępcę”, czyli p. Stryjskiego, do tego, jakby nie było, niezwykłe oryginalnego wystąpienia? Co? Prosta rzecz. Czytamy o tym we wstępie do broszury:

„Przed wojną donosiła prasa, że w jednej z piramid egipskich odkryli archeolodzy ciekawy plan historii świata. Mielł go ułożony natchnieni medcy i kapłani starożytności Egiptu. Przedstawia on różnie epoki i dzieje losów ludzkości, a to nie tylko w odniesieniu do czasów przeszłych, ale i przyszłych. Są tam różne znaki symboliczne, wznęki i przejścia to wnoszące się to opadające. Spadki mają oznaczać wojny i lęski, zaś wzniesienia pokój i pomysłowość. Na okres ostatnich wojen światowych spadki i załamania są tam najcięższe. Od tego jednak czasu ciągnie się równia pochyla — którą uczeni nazwali „tysiącoleciem pokoju”.

A więc ta „równia pochyla wznosząca się w górę” (równia pochyla zawsze dotychczas opadała w dół, ale mniejsza o to) w bliżej nieokreślonej piramidzie egipskiej sprawiła, iż projekt nowej organizacji pokoju światowego doszedł do skutku. Na czym ona ma polegać? Ach, na mnóstwie rzeczach, których z braku miejsca, niestety, nie możemy tutaj całkowicie cytować i musimy się zadowolić tylko ich omówieniem.

A więc w pierwszym rzędzie na tym, że napród powstaje „Związek Państw Zaprzysiężonych Pokoju”. Te państwa otrzymują jeden wspólny znak symbolizujący na wszystkich swoich dotychczasowych oznaczeniach i godach, a to — znak „złamanego grata”, zaś na standardach typu „P”. (P. P. — Powszechna Przysięga Pokoju). Owym złamanym gratem oznacza się w terenie granice państwa, za pomocą specjalnych słupów i tablic. Ale tylko od strony granicy drugiego państwa Zaprzysiężonego Pokoju granice oznacza się „przy pomocy słupów w kształcie strzałki prostej”. A jak od strony morza? P. Stryjski wyjaśnia i to rzecz:

„Od strony morza granice oznaczone będą na przemian słupami

o kształcie strzałki złamanej i prostej.”

W porządku. Szkoda tylko, że p. Stryjski nie podaje, co ile metrów mają takie słupy i tablice stać. Jest to przecież bardzo ważny szczegół, który nie powinien być w akcji organizacji pokoju pominięty.

Cóż jednak dalej? Otóż „Państwo Zaprzysiężone Pokoju” składa przysięgę, bardzo zresztą długą, że nie będzie toczyło wojen, że będzie pokojowe itd., oczywiście tylko w stosunku do innych Państw Zaprzysiężonych Pokoju. Ale jak państwo, jako takie, może składać przysięgę? Robi więc ono to w taki sposób, że owa przysięga w jego imieniu przez członków rządu składają: „Członkowie ciała ustawodawczego, generałowie i oficerowie, lotnicy wojskowi i cywili, wyżsi i średni urzędnicy, wojewodowie, starostowie, naczelnicy gmin i radni, możliwe wszyscy podoficerowie, obywatela z wyższym i średnim wykształceniem, lekarze, profesorowie, duchowni, inżynierowie, nauczyciele, kierownicy przedsiębiorstw, technicy itp. oraz każdy obywatel, który nie ma ku temu ważnych przeszkód i złoży egzamin na obywatela zaprzysiężonego pokoju.”

Barżo ładnie — aczkolwiek szkoda, że autor nie wymienił tutaj też i literatów. Tylko że przysięga wymaga jakiegos dowodu, że się ją złożyło. W tym więc celu zostaną wydane „Książeczki Pokoju”, które będą zawierały:

„Personalna danego obywatela zaprzysiężonego, tekst przysięgi pokoju, mapy potrzebne, oraz to wszystko co obywatel zaprzysiężony o przysiędze wiezieć powinien i ew. rubryki ewidencyjne.”

Książeczka Pokoju będzie wykonana z „materiałów silnych i trwałych” (autor dodaje zupełnie szustnie, że „winna być ona dobrze przechowywana”), a prócz tego każdy zaprzysiężony otrzyma jeszcze dodatkowo specjalną legitymację z fotografią „do podróży” w postaci „Karty Pokoju”. Oba te dokumenty będą o tyle ważne, iż mają one zastępować „paszport zagraniczny. Bravo! Poza tym:

„nikt z mocy prawa nie będzie mógł odebrać tej książeczki obywatelowi zaprzysiężonemu — sila.”

Żeby jeszcze była tam taka sama klauzula i co do portfela, to wszystko byłoby już w porządku. Osobny rozdział w broszurze jest poświęcony mapom, zaliczonym do „Książeczki Pokoju”. Będzie więc tam „Mapa światowa” i „Mapa państwowa”, z tym, że w mapie państwowej tereny państw graniczących specjalnie powiększone, tak, aby:

„obywatel zaprzysiężony pokojowo mógł łatwo rozróżnić tereny własnego państwa od terenów państw sąsiednich.”

wiem rozdziatu dowiadujemy się, że te słupy będą takiego rodzaju, iż nikt już chyba nie pomyli się co do granic. Posłuchajmy zresztą:

„Słupy dzielici są będą na słupy graniczne i przygraniczne. Słupy graniczne ustawione na granicy państwa składać się będą ze słupów wieżowych czyli wielkich, oraz umieszczonych między nimi słupów średnich i małych. Do słupów przygranicznych położonych w pasie granicznym należeć będą słupy szeregowe ustawione w kilku lub kilkunastu szeregach równoległo do granicy, dalej słupy przydrogowe i prztorowe oraz słupy na skrzyżowaniu dróg.”

Jednym słowem słupów a słupów, tak że każde Państwo Zaprzysiężone Pokoju będzie musiało mieć specjalne ministerstwo od słupów. Naszym zdaniem kierownik owego ministerstwa mógłby być określany jako duch w stopie. Albo Minister-Słupnik.

Poza tym do słupów dochodziłyby jeszcze tablice — „umieszczone w miejscach zaudowanych, tam gdzie na słupy brak miejsca”. Acha, no i jeszcze jedna rzecz:

„Tak słup jak i tablice wykone będą z materiałów silnych, ciężkich i trudno zniszczalnych, jak z żelaza-betonu, stali i metali nierzecznych.”

Zupełnie szustnie. Poza słupami projekt przewiduje jeszcze instytucję tzw. „Rycerzy Pokoju”, czyli rodzaj międzynarodowej policji, dalej wspólny dzień zaprzysiężenia dla wszystkich obywateli, obchodzony jako święto, potem granice dla wszystkich państw „dobrze widoczne w terenie, proste i naturalne, dostęp do morza dla wszystkich państw „bezosredni i pośredni” oraz — „Trzy Stolice Wolności”. Pierwsza stolica byłaby w... Stanach Zjednoczonych, druga w... Warszawie, a trzecia: „zależałaby od przystąpienia do Związku Państw Zaprzysiężonych Pokojuw krajów i narodów Wschodu i Zachodu.”

Cudowny pomysł! — zwłaszcza dla następujących jeszcze bardzo wiele innych szczegółów w sprawie użycia „Rycerzy Pokoju” do niszczenia „niezdrowolnej produkcji wojennej”, uwalniania „obywateli onebionych i więzionych z uwzględno politycznych” itd. itd. — krótko mówiąc: pełno ciekawostek, których niestety nie da się już tu z braku miejsca przytoczyć.

Całość zaś kończy się bardzo trafnym epitetem p. t. „Piramidy egipskie nie kłamią! Naprawdę, że to bardzo ładnie z ich strony.”

Ponieważ p. Leon Stryjski wystawił swój projekt do ONZ do zatwierdzenia, oczekamy z niecierpliwością wraz z nim na odpowiedź tej instytucji. Na wszelki jednak wypadek weźmy się już teraz do fabrykacji słupów. Będziemy mieli w razie czego, jak znalazł. NIEJAKI X.

Poprawki graniczne

— Wy Russkiej? — spytał mój przyjaciel.
— Kanieczno.
— A dolgo wy w Parizie?
— Tri goda.
— I nie panimajecie po francusku.
— Niet, ja nie intieriesowalsia.

Okazało się, że przedtem był kilka lat w Afryce w wojsku angielskim i też się po angielsku nie natężył z powodu braku zainteresowań w tym kierunku.

Zarówno mój znajomy z Taitbout i mego przyjaciela znajomy z metra są oczywiście rzadkimi wyjątkami. Z reguły i Polacy i Rosjanie chwytają francuszczyznę w lot, ci drudzy nawet swego języka.

Drugą grupę stanowią ci, co władają obu językami. Oczywiście można ją rozbić na dwa poddziały: tych, co mówią po polsku lepiej niż po francusku, i tych, co władają lepiej francuskim niż polskim. Są i tacy, bardzo nieliczni, którzy bezbiednie operują obu językami, liczniejsi są tacy, co oba kależca. Pewien bardzo sympatyczny pan, kiedy zbiegał o podwyżkę plac pracownikom pełnej instytucji, próbował na próżno wytłumaczyć centrali, że salery są za niskie, a niwo bardzo się zmieniło (salaires — place, niveau — poziom w danym wypadku cen).

Trzecią grupę stanowią ci, co już polskim językiem nie władają, a zachowali poczucie polskiej narodowości i są zaopatrzeni w polskie paszporty.

Spotkałem raz osobnika z polskim paszportem, który prócz języka francuskiego posługiwał się angielskim i niemieckim, a po polsku ani w ząb.

Jeśli szukać analogii historycznych, to zachodzący już niekiedy w innych narodach przykłady trawienia przez część ludności emigracyjnej ojczyzny i przywiązania do narodu. Najklasycznym przykładem mogą być Żydzi. Polacy, ci młodzi bracia Izraela (obacz Księgi Narodu i Pięltrzymstwa polskiego Adama Mickiewicza), nie pod jednym względem do seniorów podobni. Przejęli bardzo wiele ich cech.

Czwartą grupę stanowią tacy, co wyrzekli się już narodowości, ale zachowują w pamięci polskie pochodzenie rodziny. Jest we Francji bardzo duża liczba takich osób. Są to oczywiście bezwzględnie Francuzi, w razie sprzeczności interesów polskich i francuskich zawsze będą rzecznikami tych drugich, ale w odróżnieniu od Niemców pochodzenia polskiego, którzy raczej wpadają w komplementy antypolskie, ci Francuzi polskiego pochodzenia mają sentyment dla ojczyzny swych przodków. Ci ludzie zachowujący świadomość polskiego pochodzenia stanowią jeden z nielicznych pomocników w porozumiewaniu się z francuskim społeczeństwem. Często są bardzo czynni w akcji filantropijnej i przy obronie praw Polaków.

W Homburgu odprawa celna długo trwa. Mija kilka godzin. Już upalny piątek jedenastego czerwca dobiega kresu i cienki przybujający nów zabielił się na ultramarynowym niebie. Prawie cały nieboskłon jest czysty, ale z jednej strony nad horyzontem rozmarane obłoki wróżą, że po dwóch dniach skwaru może być pochmurniej.

A skwar był okropny. Już w Lens przy odjeździe paru wągłkich chłopów zemłdło. Było w wagonie sanitarnym pole do dyskusji, że dziewczęta są jednak wytrzymałsze. Nie jest łatwo w taki skwar wyruszać w podróz. Ale pociesmy się, droga poprowadzi przez kraje chłodniejsze, górskie. Najtrudniejszy jest początek. Odprawa celna trwa. „Encore une petite formalitee” — powiada Francuz. Więc go lekarz Walery i kierownik transportu Skowronski greszcznie indagują, ile to tuzinów formularzy trzeba będzie jeszcze wypełnić.

Wyraz „une petite formalitee” w języku francuskim oznacza bardzo dużo, tak samo jak „une minute”. Parę tygodni temu zdarzyło się takie nieporozumienie. Celnik francuski dyskutował z kierownikiem transportu bardzo szczegółowo nad plikami dokumentów. Kolejarz niemiecki zażądał, czy może już puścić pociąg. „Une minute” powiedział Francuz. Niemiec spojrział na zegarek. Odczekał równe dwie minuty i puścił pociąg. Gdy zastawiano na cie kierownik transportu wraz z celnikiem francuskim rzycał na niego — tłumaczył, że wykonał rozporządzenie nawet z minutowym opóźnieniem. Trudno. Stało się. Musiano transport telefonicz-

nie zwracać z drogi i musiał wracać po swego komendanta. A że tam podróz trwała o pół dnia przez to dłużę — głupstwo. Oto co znaczy „dans une minute”.

Odprawy celną najwyraźniej komplikuje dyskusja na temat krow i koni, które są wzięzione w wagonach z Belgii. Prawdopodobnie nieudokumentowanie belgijskie wydaje się Francuzom egzotyczne. Mój Boże, kiedyż na święcie skończyć się te paszportowe i celne szachierki.

Podobno obecnie polska straż celna jest jedną z niewielu w Europie, która nie bierze łapówek. Może dlatego jest jedną z niewielu nie brutalnych. Brutalność strażnika to jego nadzieja na dochód.

Długo do późna w nocy trzeba czekać przy tym francuskim cle. Jest już 11 wieczór, a nie może nastąpić odprawa pociągu z tej prostej przyczyny, że kapitan francuski je obiad. Dla narodów, które już się nauczyły wielkiej sztuki odpoczywania, obiad jest rzeczą bardzo świętą. Szofer francuski, gdy zbliża się pora obiadu, za żadną cenę nie pojeździe w innym kierunku niż ku tej restauracyjce, w której zawsze spożywa. Komendant francuski na pograniczu też za żadne skarby nie zamie się przepuszczeniem transportu 521 ludzi, skoro udaje się na obiad. A ponieważ obiad trwa minimum dwie godziny, trzeba czekać. Przy obiedzie pije się dużo wina. Wtedy przychodzą ambitne myśli i zjawia się pomysł sprawdzenia wszystkich walizek, czy czasem robotnicy, których uposażenia były bardzo skromne, nie wywożą zapasów waluty, żywności i nadmiaru mienia.

Zdarza się w takim wypadku, że zostanie zakwestionowany rower, dlatego że jest nowy, nie zwyczajnie na to, że rowery francuskie jako zbyt słabe w konstrukcji i nie nadające się na polskie drogi nie mogą być w Polsce przedmiotem handlu, ani tym bardziej przemytu do kraju, który sam rowery eksportuje.

Następuje kontrowersja pomiędzy kapitanem a komendą pociągu, która stojąc na granicy umowa polsko-francuskiej o repatriację dowodzi, że nie podlega kontroli celnej bagaż repatriantów i do rewizji nie dopuszcza. Na szczęście zjawia się Securitee (francuski U. B.) i jako lepiej poinformowany zabrania wywołać z Polakami awanturę o jeden pociąg. Kapitan musi ustąpić, pociąg rusza piętna nocą.

Ujechał niedaleko. Czekają poważna przeprawa — straż amerykańska. Musimy dojechać się, aż ci wstana. Jest trochę obaw. Amerykanie mają swoje decyzeraty. Raz chcieli zawrócić pociąg z powrotem do Francji, motywuując, że zapas prowiantów jest zbyt mały. A był w 7 dni według najwyższych dopuszczalnych norm francuskich. Dopiero okazanie w walizkach podróży dodatkowych prywatnych zapasów umożliwiło wybrnięcie z sytuacji, w jaką został upędzony transport na skutek relatywnie kalorycznego aliantów.

Upał zaczyna nas prażyć jak „Krzyżowców” Kossak-Szczuckiej. Dochodzi południe, a jest już sobota dwunastego czerwca. Formalności amerykańskie odbyte, zaczynają się perypetie z lokomotywą. Za krzewami w ogródku działkowym Niemiec gra na harmonii. Jerry Zagórski.

Niszczy radykalnie robotwo: PLUSKWI, mole „P. lugin” SZCZYK, myszy „Trutol” KARALUCHY, szwabry „Robal”

W przeciwnym razie zwracamy pieniądze.

Sprzedają apteki i drogerie.

Wyd. „Czytelnik”, 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry”. Redakcja: Katowice, 3 Maja 36, II p. tel. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Martynowa 23. Rekopisów nie zamawianych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuski 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik”, Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, weim. 08. R 13257